



■ *Jak woda* ♦ *Brat* ♦ *O zdra*
adzie i śmierci ■

Bronisław Wildstein

◆ *Jak woda*



Kanał szklął się jak oczy. Francuski przyjaciel oddalił się wreszcie z tłumaczką i mógł zostać sam. Chyba zrozumieli w końcu, kiedy powtórzył kilka razy, że jest zmęczony i da sobie radę, jeszcze potrafi odnieść nabyte rzeczy do hotelu. A może także mieli już dość po parogodzinym, bezładnym płątaniu się po jarmarku...

Dzień był szary, ale zaczynał chyba szarzeć jeszcze bardziej, a przechodnie wciskali się w swoje okrycia, które straciły barwy, i przyspieszali kroku, chociaż i tak chodzili tu tak szybko, pomimo że Armand mówił, że Amsterdam to tylko wielki park spacerowy...

Wchodził zadyszany na wygięty jak koci grzbiet most nad kanałem. Drzewa nachylały się nad nim ku sobie, z obu stron wysuwały swoje bezlistne gałęzie, które rozwidlały się po wielekroć, mijały, biegły ku sobie, nie dotykając się, budowały czarną siatkę jak rusztowania chmur. Dyszał jeszcze napięciem targu, kupowania – to ponad sześćset guldenów, mógłby za to wyremontować mieszkanie, o którym obiecał sobie nie myśleć, a którego obraz – ciemne szczeliny sufitu, pył wydobywający się nie wiadomo skąd i zielonkawy liszaj ściany – stawał się znakiem powrotu, światem, który zamknie się nad nim jak woda... Po co miałby robić ten

remont? Ile zostało mu jeszcze tego czasu... mniej niż mieszkania. Mieszkania, które pamiętał plamami światła pośrodku pokoi, dalej zamazującego się w mroku, gdzie tonęły ściany, kawałki mebli. Amfilada trzech pokoi zamkniętych kuchenką, w której ściany prawie dotykały go i lubił to, chociaż czasami zaczynał się dusić tam i musiał biegać po pokojach, poprzez nie, samotny, tyle miejsca, że nie trzeba wyliczać kroków, tyle miejsca, że można prawie gubić się, zapomnieć o ścianach, które rozsuną się w przestrzeń jak w step nocą...

Teraz to mieszkanie straszło go. Po kolejnych lotniskach, kiedy świat gwałtownie zszarzeje, zgasną neony, światła, wystawy, z proscenium ze zgrzytem zardzewiałych kół odjadą kolejne elektrycznie zabudowane plansze dekoracji, wszystko pograży się w mroku, a on zamknie za sobą drzwi swoich trzech pokoi zakończonych kuchenką, wypełnionych wilgotnym zapachem pleśni i jak ślepiec obmacując framugi, ściany, krawędzie kilku przypadkowych mebli dotrze do swojego stolika, ukryje się w kręgu światła lampy, a ciemność dookoła zamknie się, znieruchomieje, uspokoi. A przecież wreszcie będzie musiał opuścić ten lepki azyl stolika, światła lampy, borykać z nadwyreżowanym tapczanem, aby ukryć się przed mokrym chłodem. I w końcu, zakopany w pościeli, jakby chciał się schronić, ukryć, wydany na pastwę nocy, runie w górę jak w bezkresny lej. A może opadnie, osunie się jak w grząską ziemię i znowu woda będzie się sączyła po ścianach, rozlewała w kałużach po pofałdowanej podłodze... Jeszcze niedawno, jeszcze dwa lata temu na przykład, byłby to niewyobrażalny wręcz horyzont jego marzeń – móc zamknąć własnym kluczem drzwi, przejść z pokoju do pokoju, zapalić lampkę nocną lub choćby żarówkę zawieszoną pod sufitem, leżeć, kiedy się chce, a potem wstać, usiąść na krześle, na podłodze, dotykać przedmiotów, na których zostały jeszcze ślady ludzkich dłoni, ich gest

tworzący formę, to, co może najlepszego pozostać... Własna ściana, własne drzwi.

Jeszcze przecież niewiele więcej niż rok temu nie mogło wydawać się to możliwe – trzy własne pokoje i kuchnia z perspektywy ciasnej klitki, ale jak dobrze było wtedy mieć pokoiik prawie dla siebie, łóżko, szafę bez drzwi i drzwi wreszcie, które nie miały od zewnątrz judasza i które wolno było mu otwierać. Wolno je było otwierać i innym, szczególnie dzieci wbiegały tu i wybiegały, ale najgorszy był główny lokator, na co dzień prawie miły człowiek, ale kiedy się upił, wtaczał do jego pokoju, przestępował próg, robił krok i walił na jego łóżko, charcząc – Tylko bez numerów, tylko bez numerów, bo my ciebie; w tym momencie skręcał z jakimś dziwnym sykiem dłonie na wyimaginowanej szyi. – Chcemy tu spokoju, rozumiesz, spokoju i porządku, bo jak nie, to my ciebie... sam wiesz, dostałeś już dosyć...

To był w sumie porządny sąsiad. Odpowiadał grzecznie na powitania i upijał się nie częściej niż dwa razy w tygodniu. Czasami przytaczał się z wódką. – No, napij się ze mną. Sam wiesz najlepiej, jak jest, wiesz, że bez tej mateczki nijak idzie, nie mamy co gadać, sam wiesz najlepiej...

Raz nawet upił się z nim, z głodu, żeby zapomnieć, nie trzeba było dużo. Potem był dzień pełen dygotu i kwaśnych skurczów żołądka. Zwykle starał się wymigać: słabością, chorobą. – Patrzcie, taki dziad, a zachciało się mu podskakiwać. Taki dziad... czy nigdy nie patrzysz w lustro?

Ale tam prawie nie było luster. W każdym razie u niego. W swoim nowym mieszkaniu miał szafę z pękniętym lustrem w drzwiach od wewnętrznej strony. Czasami stał przed nim, długo rysując skomplikowane wzory wokół swojego odbicia. Amsterdam był szeregiem powielających się luster – może to lubił w nim najbardziej. Ale chyba cały ten świat, jak go znał, zanim

przyjechał tu – z filmów, zdjęć, rzadkich rozmów – to były powtarzające się w nieskończoność lustra. Jakby cielesność parowała tutaj, skraplając się w odbicia.

Jarmark pozostawił w nim napięcie. Pieniądze wydawał, przełamując wewnętrzny sprzeciw, strach nieomal, i nabywając te niepotrzebne przedmioty, czuł przez moment prawie ekstazę. Myślał wtedy, ile traci, ile bezpieczeństwa mogłyby mu dać tam te pieniądze, jak mogłyby zmienić jego dom. Uniesienie stawało się napięciem, które przeradzało się w poczucie niejasnej winy, jak grzech, wobec siebie, innych tam, i wreszcie rozpełzało się po całym cieple lepkiem potem, rozpościerało się w zmęczenie, zaczynał czuć na ramieniu ciężar wielkiej torby Francuza, skąd wynurzał się drewniany anioł z prawie kobiecą twarzą, długie włosy spływały mu po policzkach, osiadały na ramionach i zanurzały w torbie, giętkie ręce jakby pozbawione kości wyciągały się ku niebu w powietrzu, zanurzały się w nim smukłe palce, które chyba kiedyś grały na nieistniejącej już harfie; pod ciałem wynurzającego się z torby anioła grzechotały metalowe kubki, sztylet. Z ramą obrazu jak wielką prostokątną obrożą na karku mógł wyglądać jak handlarz starzyzną, ale tutaj i tak nikt nie zwróci na niego uwagi. Tylko jedna kobieta uśmiechnęła się do niego przelotnie i nie zdążył nawet zapamiętać jej uśmiechu.

Zaczynało już wyraźnie szarzeć i wąskie kamienice coraz głębiej zanurzały się w kanale. Ich żelazne zaczepy do wyładowywania towarów zapadały w wodę, jakby przeczesywały dno, szukając jakiegoś zapomnianego od setek lat statku, który niezauważalnie zmurszał i osunął w głąb z zamyślnym sternikiem, ciągle jeszcze usiłującym dostrzec spod wody na północnym niebie Krzyż Południa, i pilotem, który nie wyszedł z kabiny, uwieczony w labiryncie swoich coraz to dokładniejszych map.

To miasto tak piękne i tak obce. Chodził już po nim kilka wieczorów, kiedy tylko udało mu się ujść czujności nowych przyjaciół. Wzdłuż kanałów, gdzie z wygiętych lub prostych mostów oglądały swoje odbicia zamyślane pary, a nad nimi wznosiła się czarna pajęczyna drzew. Latarnie były białosrebrzyste, jakby powieleły księżyc, który rozdzierał czasem chmury, a rzeźby domów, zdobione gzymsy, ornamenty ścian wyłaniały się z ciemności, wychylały w noc ku idącemu swój zarys, pamięć czułych rąk uczestniczących w odległej harmonii. Domy spływały balustradami, dywanami schodów prawie do stóp przechodnia, ale to „prawie” dzieliło rzeczywistość od snu. Od filmu, który wyświetlały nieosłonięte szyby okien, kobiety w skupieniu nachylone nad listem, rodziny nad kominkiem żarzącym się fluorową lampką, postaci rozmawiające bezgłośnie, znieruchomiałe przed bibliotekami w brązowym rytmie półokrągłych grzbietów książek. Znad nadbrzeży kanałów zapadał w spokojną ciemność czworoboków domów wysuwających ku niemu rzeźbione ganki, których w nocy nie widział prawie. W ciszy zupełnej mógł łowić jeszcze szelest dawnych kroków, kroków, które nakładały się w czasie, stąpnąć, które w kamieniu pozostawiły niewidoczne ślady. Szelest unosił się w nocy, odbijał od pni zagarniających przestrzeń wielokrotniejącymi gałęziami drzew zbliżających do okien swoje zagięte palce. Wędrował tymi kamiennymi ogrodami, które przenikały jeden w drugi, zmieniały kształty i tonacje mroku, aby nagle wypaść w sam środek ludzkiego strumienia wibrującego w krzyżujących się światłach w krzyku, hałasie, w podmuchach agresywnej muzyki, która przenikała się, ścierała, postępowała po sobie, a przechodnie jakby tańczyli w jej zmieniającym się rytmie. Ściany były lustrami i bramami sezamu, w których odbijały się, powieleły potoki ludzkie płynące w nieskończoność w takt pulsującej muzyki.

Takie szczęście dało mu po raz pierwszy to miasto, pozwoliło uwolnić się od pamięci, choćby na chwilę zapomnieć o sobie, o tym, co towarzyszyło mu na co dzień, wyłobione zostało w wewnętrznych ścianach jego oczodołów, co płynęło z krwią pod pomarszczonym pergaminem jego skóry i w głębi jego zwiotczałych mięśni, o tym wszystkim zapominał wtedy, tak jak o ciężarze swojego ciała. Nie musiał wybierać drogi ani kierunku, bo pchały go poddmuchy powietrza, ludzki wiatr, miraże świateł. I tak mogło być nawet w momentach zupełnie innych, w tym mieście – kiedy patrzył w wodę kanałów i zanurzał się w niej, pograżał w ścianach wąskich budynków, a rzeźba gzymsu stawała się lalką na dziobie statku i niesiony prądami płynął w pyle gwiazd, które prowadziły go na pełne morze.

Wszystko to pamiętał już. Pamiętał z rzadkich chwil, kiedy można było wtulić się w siennik przed zgaszeniem światła i patrzeć na jarzącą się żłym, żółtym światłem okratowaną żarówkę, patrzeć tak długo, że oczy przestawały widzieć i nagle żarówka jak kopnięta bańka światła odlatywała gdzieś w daleką ciemność i wtedy mógł odnaleźć się na ulicy nieznanego miasta. I mógł iść, bo ściany celi rozstępowały się w noc, znikwały i widział szklącą się taflę wody, białe światło latarni, księżyc i gwiazdny pył, który unosił się z dna kanału. Myślał, że to Wenecja, i usiłował iść przez plac Świętego Marka, dojść do Bazyliki, zobaczyć z bliska pałac Dożów, a nawet może wejść na jego dziedziniec, bo przecież znał tyle opisów tamtego miasta i przestudiował przewodnik, usiłując zapamiętać płataninę uliczek i kanałów, ale nigdy nie potrafił odnaleźć nawet placu. Czasami tylko, kiedy labiryntem podwórek i czworoboków domów, które nie miały w sobie nic włoskiego, przedzierał się długo, wypadał nagle w sam środek ludzkiego strumienia, w feerii barw, tańcu neonów, łudzących grach luster. Teraz zrozumiał, że był to Amsterdam.